Tom II. **Nr. 7.**

1. Marca **1860.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty Izydor,

patron rolników.

O! nie wiecie wy ludkowie,
Jak za dawnej tam pamięci
Byli z pośród was królowie,
Byli nawet nieraz święci.

F. M.

Kto był ten święty Izydor? — Byłże on pan jaki możny co posiadał włoście i dostatki, i dużo jałmużny rozdawał między ubogich? — Lub może on jaki Biskup sławny, tak jak św. Wojciech albo św. Stanisław? — A jeśli nie, to zapewne jaki bogobojny pustelnik, co na dalekiej puszczy ostry żywot prowadził? — Oj nie, moiściewy! Nasz święty Izydor nie był ani panem tak wielkim, ani sławnym Biskupem, ani też pustelnikiem, ale był on sobie wieśniaczkiem tak jak każdy z was, synem ubogiego rolnika, pracujący też na kawałek chleba w pocie czoła.

Kiedy się rodził, to już temu bardzo dawne czasy, bo będzie ze siedemset i kilkadziesiąt lat. A rodził się w kraju Hiszpańskim, od nas strach jak daleko, bo aże za Francją nad samem morzem.

Rodzice jego, ludziska uczciwi i bogobojni, choć ta niby siedzieli na własnej zagrodzie i byli sobie gospodarzami na roli, niekoniecznie dobrze się mieli. Dzieci było dużo a chleba przyskąpo. — Skoro też Izydor, ich syn najstarszy, przyszedł do swoich lat że już mógł sam na siebie zapracować, a zmiarkował że w domu nie ma co robić, bo i bez niego dadzą sobie radę, zabrał się i stanął u jednego mieszczanina na służbę. Chciał on, widzicie, przez to sprawić ulgę rodzicom co ich tak wielce kochał. — Pan jego nazywał się Jan Wergas, a był setny bogacz: miał kilka murowanych domów w mieście i spory kawał ziemi za miastem. Izydor zgodził się do niego za parobka.

Służyłoć ich tam więcej razem, ale żaden ani się umył do niego. On pierwszy stawał do pracy, a szedł ostatni na odpoczynek i spanie. Nikt go nie widział próżnującym; czy był jaki nadstawnik albo nie, on robił swoje i na nikogo się nie oglądał. Rola po której chodził pług Izydora, najczyściej była sprawiona; jego siejba zawsze najlepiej wypadła, a bydło któregoć doglądał, takie wam było rozkoszne, jakby nie na tym samym obroku chowane co i drugich. — Widział to pan i bardzo sobie polubił Izydora. Nie tak zaś jak inni parobcy. Ich to mierziło że Izydor nie trzymał się jednej z nimi kompanii, że ani sam ani drugiemu nie pozwolił w niczem co się nazywa ukrzywdzić pana, że wolał iść do kościoła jak do karczmy na zabawę — krótko mówiąc, nie podobał im się, przezwali go między sobą pańskim lizunem i bardzo nad tem przemyśliwali, jakby go z łaski pana wysadzić. Długo nie udawała im się ta sztuka — aż ci razu jednego któryś tam z nich zajrzał na pole, gdzie pracował Izydor. Patrzy, na zagonie stoi pług, przed wołami leży wiązań siana, a Izydora nie było. W bliskim kościółku dzwoniono na mszę świętą.

Parobczak z tego co widział tak się uradował, jakby jaki skarb wielki znalazł i co tchu pognał do swoich.

— Hej, hej! wrzeszczał na całe gardło, górą nasi, górą!

— Co tam powiesz? pytają drudzy i obstąpili go do koła.

— Trzeba zaraz iść do pana na skargę.

— Na skargę? czy cię opętało! a to na kogo?

— Jużcić że nie na was, jeno na Izydorka naszego.

— Albo co zbroił? gadaj, gadaj! zakrzyczano ze wszystkich stron.

Dopiero opowiedział im parobek co widział na swoje własne oczy: że Izydor odbiegł od pługa a sam poszedł jak się zdaje do kościoła.

— At głupiś ty! zawołali drudzy — to i cóż w tem złego że chodzi do kościoła? jeszcze by go za to pan pochwalił że taki pamiętny o Bogu, a tobie porządnie uszów natarł cobyś z taką skargą do niego przyszedł.

— Nie bójcie się! na to rzeknie pierwszy, i uśmiechnie się gdyby Judasz zdrajca — nie natrze on mi uszów, nie! bo ja nie głupi powiadać o kościele. Ho, ho, nie bito mię w ciemię — jak mu wezmę łgać, że Izydor nie pilnuje swojej roboty, że jeno ciągle gdzieś łazi, Bóg go tam pilnuje gdzie? do karczmy czy nie do karczmy? — tak zobaczycie, że musi uwierzyć i na przekonanie sam tu zjedzie nazajutrz.

Było tam kilku lepszych między nimi, którzy się na kłamstwo nie godzili; ale więcej znalazło się takich co sobie z tego żadnego nie robili sumienia, byle jeno drugiemu dokuczyć. Oni to uradzili, żeby wieczorem któryś skoczył do miasta i doniósł panu o wszystkiem. I tak się też stało — pan z razu nie chciał wierzyć i omal co za drzwi nie wytrącił parobka, który wygadywał na Izydora, tak go to rozgniewało. Ale jak mu się ten wziął kląć na duszę, a prosić iżby się sam przekonał — tak nareszcie pomyślał sobie: kto wie, może też i prawda! i obiecał dochodzić tej rzeczy. — Nazajutrz skoro już wszystko powychodziło w pole, nadjeżdżać pan z miasta. Właśnie w tym czasie na mszę świętą dzwoniono. Izydor wedle zwyczaju rzucił trochę siana wołom żeby sobie przez ten czas przegryzły, a sam co tchu skoczył do kościoła pana Boga pochwalić. Inni parobcy uwijali się żwawo przy robocie, bo wiedzieli że pan przyjedzie i chcieli się przed nim popisać. Ale pan jakoś cale dziś nie zważał na ich pilność ani też ich pochwalił — surowym głosem powołał wszystkich i rzekł:

— Chodźcie za mną! jeżeli to prawda że Izydor, którego ja dotąd miałem za najlepszego sługę, krzywdzi mię w robocie, niechże go zawstydzę i ukarzę przed wszystkimi; jeżeli znowu

inaczej się przekonam, wtedy biada kłamcy co mię chciał na Izydora podjudzić i wam coście go do mnie przysłali.

Parobcy okrutnie się przestraszyli, bo im sumienie wyrzucało że skłamali; ale wycofać się już było po niewczasie — pan zachmurzony ruszył naprzód, oni też wedle rozkazu powlekli się za nim. Niebawem stanęli na polu, gdzie pracował Izydor. I cóż oni tam nie zobaczą!... po zagonie chodzi pług; za pługiem anioł o białych skrzydłach, niebieską otoczony światłością, kieruje pięknie robotą, a woły pysznie pozadzierały karki jak gdyby im nic a nic ciężko nie było. Piorunem odbywała się ta cudowna robota; zagon po zagonie jeno się migał, a każdy niby pod sznur tak prościuchno był wyorany i zanim powrócił Izydor, już do połowy rola była sprawiona. Nie wszyscy ale dopatrzyli tego cudu: widział pan, widziało jeszcze kilku lepszych parobków co się kłamstwem brzydzili; reszta zaś jako niegodni, widzieli jeno pług stojący na polu, i wiązań siana leżącą przed wołami, i że Izydora nie było. Więc kiedy pan i inni upadli przed cudem Bożym na kolana i złożyli ręce do modlitwy — to oni jeno z podziwu rozdziwiali gęby i stali jak malowani, bo nie wiedzieli co to ma znaczyć. — Nareszcie wraca Izydor z kościoła i sam się zadziwił, co oni tu wszyscy porabiają? Dopiero pan mu opowiedział, jaka zaszła skarga na niego i bardzo go przepraszał, że kłamcom uwierzył. Powiedział mu także, jaki cud stał się podczas jego niebytności i polecił siebie i swoją rodzinę jego modlitwom, miarkując teraz jak wielką łaskę miał Izydor u Boga. Zaś onych niedobrych parobków chciał natychmiast ukarać i ze służby wydalić. Ale Izydor wyprosił ich od kary i tak sobie tą swoją dobrocią ujął wszystkich, że odtąd kochali go i szanowali gdyby własnego ojca.

Była w tej wsi jedna uboga dziewczyna, sierota po ojcu co ją odumarł jeszcze maleńką. Siedziała ona wraz z matulą niebogą komornem u dalekiego krewniaka. Nikt ta na nią we wsi nie zważał, chociaż dziewuszka pięknie wyrosła i zakazywała się na dobrą gospodynie. Aleć jak to mówią: *Bóg dobrze radzi o swej czeladzi* — nie dał on sierotce marnie zginąć i przeznaczył jej na męża Izydora. — Raz po mszy świętej wracając do dom matka z córką, spotkały na drodze Izydora. Spodobała mu

się od razu dziewucha, on też jej przypadł do serca — wkrótce potem pobrali się oboje. Pan w nagrodę wiernej służby wydzielił Izydorowi kawał gruntu i podarował na wieczne czasy. Izydor zaś swoją część z ojcowizny zdał na młodsze rodzeństwo.

Jak dotąd był najlepszym sługą, tak ci teraz stał się najlepszym gospodarzem. Żona mu też dopomagała wiernie, ulegając we wszystkiem woli mężowskiej, jak na uczciwą kobietę przystało. — Kłótni między małżeństwem nie zasłyszałeś tam nigdy — święta zgoda panowała w tym domu; to też pan Bóg błogosławił im w pracy i z każdym rokiem dziwnie pomnażał ich dostatek. U innych gospodarzy grad wybił zboże do szczętu — Izydorowe pole choć tylko o staję daleko, zostało nie tknięte. U sąsiada w chałupie wybuchł pożar, ogień dochodził aż do strzechy Izydora, a przecie się nie zajęła. To znowu raz padła we wsi zaraza na bydło, keżdemu ile tyle sztuk odeszło, a Izydorowi ani jedna. — Nie dziwowali się temu ludzie wcale, bo powiadali że Izydorowi sam pan Jezus pomaga — ani też zawidzili mu dostatku, bo widzieli, że go nietylko sam pożywa, ale i drugim co potrzebni, miłościwie udziela. Bo i prawda! nie było w całej wsi jednego gospodarza, któregoby nie poratował w złym razie: jednego groszem, drugiego ziarnem, trzeciego dobrą radą, czwartemu znowu dopomógł w robocie, pożyczył pługa, brony, wozu, siekiery i wszelkiego narzędzia jeślić było potrzeba — słowem niczego nie żałował. Dla ubogich był też prawdziwym ojcem: gdy przyszedł głodny, to go nakarmił, gdy przyszedł nagi, wnet go w własną bieliznę ustroił — taki był szczery, taki miłosierny, żeć od własnych ust odjął, a dał ubogiemu. I jakżeż go nie mieli ludzie kochać, a pan Bóg błogosławić!... Już też za życia pan Bóg okazywał mu łaskę swoją. I tak razu jednego rozdał był wszystek chleb, co go miał w komorze, między żebraków. Aż tu późno wieczorem przywlokła się jakaś staruszka niemocna i okrutnie głodna, i prosi Izydora o jałmużnę. Krucha rada, czem tu obdarzyć staruchę?... Komora pusta, dopiero nazajutrz mieli ją zaopatrzyć; z wieczerzy też nic a nic nie zostało. Odprawić z niczem ubogę, tegoć Izydor nie mógł przenieść na sobie. I westchnął zakłopotany do pana Boga, a potem pełen ufności w łaskę Jego obróci się do żony i rzeknie:

— Pójdź-no do komory i wynieś ubogiej co znajdziesz.

— Ależ mężu, odpowie żona łagodnie — chybaś zabaczył że się dziś wszystko rozdało?

— Idź no, idź moja ty! nalega Izydor — da Bóg może się co i znajdzie.

Żona posłuszna mężowi, nic już nie mówiąc, poszła i z wielkiem podziwieniem zastała wszystkie beczki i sagany cudownie napełnione mąką, kaszą, krupami i innem jadłem.

Drugą razą dźwigał Izydor do młyna pełny wór pszenicy. Z nim razem szedł sąsiad, a także ze zbożem do młyna. Na drodze zajrzeli gromadę ptaszków, którym głód widać niemiłosiernie dokuczał, bo strasznie to maleństwo piszczało. Więc Izydor że był bardzo czułego serca, ulitował się nad tem i począł garściami sypać pszenicę po drodze. Zanim doszedł do młyna, z worka prawie do połowy ziarna ubyło. Śmiał się z niego sąsiad — ale gdy przyszło do mlewa, pokazało się, że wór Izydora choć nadebrany, więcej mąki wydał, niż pełny jego sąsiada. — I dużo jeszcze takich cudów czynił Bóg, aby świat o tem wiedział, w jakiej łasce był u Niego Izydor, prosty chłopek.

Kto żył jak przynależy, uczciwie i wedle przykazania Boskiego, ten nie dozna strachu przed śmiercią. — Przeczuwał Izydor bliski swój koniec, i powołał całą wieś do siebie na pożegnanie. Z razu posmucili się wszyscy że go już utracą; ale skoroć go zobaczyli, jaki był wesoły i uśmiechnięty na twarzy, zaniechali smutku bo im się nie zdało, aby ktoś z takiem weselem umierał.

On im powiadał: — Za chwilę panu Bogu ducha oddam — ale nie macie się czego smucić. Choć przestanę żyć między wami, taki ja o was zawsze pamiętać będę i pana Boga prosić, aby wam się dobrze działo. W waszym stanie ja się rodził i nie wyrzekłem go się do ostatka. Jako chłopek, obstawać też będę przed naszym Ojcem niebieskim za chłopkami. Ale też i wy, bracia moi, nie zechcecie mi robić przykrości. Kto mię kocha, ten będzie żyć pracowicie, uczciwie, w zgodzie i bratniej miłości między sobą. Każdy grzech wasz zaboli Izydora, patrona waszego — toż pamiętajcie na to i wystrzegajcie się grzechu.

Po tych słowach już nie było Izydora na świecie. Umarł jak umierają Święci Pańscy, z jasnem obliczem, uśmiechający

się do anioła, co jego duszę czystą na białych skrzydłach uniósł do nieba.....

Święty Izydorze módl się za nami!

Spiewka o umierającym żołnierzu.

(Złożył do składu Bartłomiej z pod Wiśnicza.)

Hej na łące zielonej
Leży żołnierz skrwawiony —
Leży Jasio z raną w piersi,
Koło niego dwaj najszczersi.
Kamraci jego —
Kamraci jego!

— Bądźcie zdrowi kamraci,
Pan Bóg niech wam zapłaci —
Niech ja tu już marnie zginę,
A wy wróćcie w swą krainę,
Do rodzinnej wsi —
Do rodzinnej wsi!

Wyjdą matuś stareńka,
Spytają o Jasieńka —
Wyjdzie róża co rozkwita,
Kasia moja i zapyta:
„Gdzie kochanek mój —
Gdzie kochanek mój?"

Więc odrzeczcie matuli:
— „Jasia twego zakłuli —
Obca ziemia go przykryła,
Na pamiątkę ci przysyła
Chustkę z swoją krwią —
Chustkę z swoją krwią!"

Potem rzeczcie Kasience
Że mam pierścień na ręce —
Niech nie płacze zbyt nieboga,
Niebawem u pana Boga
Obaczym się znów —
Obaczym się znów. —

HISTORJA

o kłótniach Szeligów i Berdyszów, dwóch kmiecych rodzin w Gajowie — i jak się pogodzili z sobą.

Przez

Józefa z pod Krakowa.

Ci, co się staremi dziejami zajmują, w księgach odwiecznych siedzą i szperają, wiedzą dobrze, jak to nieraz na świecie swarzyli się królowie z królami, wielcy panowie z innymi wielkimi panami. Wiedzą także, ile to złego z tego powstawało, ile jedni i drudzy na tem cierpieli, ba nawet i tacy, którzy temu nie byli winni. Święta zgoda zawsze najlepsza! Ale chociaż mądrzy ludzie wiedzą i piszą o tych smutnych historjach, nie wiedzą pewnie, że i w Gajowie, sąsiedniej wsi ode mnie, od dawna, bo od sześćdziesięciu lat prawie, była wielka kłótnia i niezgoda między dwiema najbogatszemi kmiecemi rodzinami, która także niemało narobiła złego, a teraz, chwała Panu Bogu, szczęśliwie się zakończyła. Bo jużcić, jeśli królowie się swarzą, to słychać w ich królestwach a nawet na całym świecie; jeśli zaś kmiecie gajowscy, to tylko w Gajowie, chyba że tam ludzie z sąsiedztwa o tem pogwarzą, jak na ten przykład ja dzisiaj. —

Gajów piękna to a wesoła wieś. Jest ci tam, jak to powiadają: mąka i łąka, grzyby i ryby. Pola dobre, pszeniczka na nich stoi jak mur — łąki i pastwiska doskonałe, że się bydło pięknie chowa — jest ładny lasek i kilka rybnych stawów, tak że całe przysłowie stosuje się do Gajowa. Na niewielkiem wzgórzu stoi dwór murowany — tuż przy nim z pośród odwiecznych lip wygląda kościół starożytny i piękny — niżej plebania i organistówka, a w około wzgórza wzdłuż drużyny rozłożyły się chałupy kmieci i zagrodników białe, schludne a zasobne widać, bo i stodółki niemałe i innych pobudynków siła, jak na pańskim folwarku. Poniżej wzgórza mruczy sobie strumień obsadzony olchami i klekocze młynek — a dalej już na wschód i zachód bujne pola to dworskie, to chłopskie dobrze uprawione,

ciągną się z jednej strony pod las jodłowy, a z drugiej spuszczają ku zielonym łąkom, co je niebieski wężyk rzeczki przekrąża. Duża znać wieś, bo ledwie daleko gdzieś widać rzekę wielką, a za rzeką inne wsie i sadyby.

Gajów słynie zamożnością pana i chłopów. Mówią o niejednym, że ma konewkami cwancygiery i talarki w domu, czego dziś u nikogo w mieście nie uświadczy. Gospodarstwo idzie jak z płatka: bo i pan dobry i ludzie pracowici. Chociaż pańskiego już nie ma, zachował się w Gajowie zwyczaj pomagania sobie nawzajem. Pan nie żałuje żadnemu chłopu ani drzewa na budowlę, ani pastwiska za mierny odrobek, a jeśliby, czego Boże broń, zgorzał, to i za darmo; pani poratuje gdy kto chory; proboszcz, poczciwy starowina pomaga co może, a uboższemu ostatniej posługi nie żałuje, choćby mu nie zapłacono. Ale też i ludzie uczynni i wdzięczni. Robotnika nigdy niebrak, a jak pan zawoła, to rojem garną się żniwiarze i żniwiarki i nie zdarzyło się, aby który poszedł za ogranicę dla kilku krajcarów więcej, albo żeby panu dla nieżyczliwości ludzkiej zboże na pniu zrosło. Sam widziałem jak przy niepewnej pogodzie, chłopi Gajowscy z własnej ochoty przyszli na tłokę po miesiączku, co wdział lisią czapkę, i bardzo jakoś deszczem groził — a pan nazajutrz zobaczył stojące kopy na łanie. Ucieszyło się też uczciwe panisko i wyprawiło sute okrężne, a panicze młodzi wychulali pracowite żniwiarki Gajowskie i pan sam zaczął taniec z starą Tomaszową, a pani ze starym Tomaszem Szeligą.

Z tego com wam dotąd opowiedział, zdawałoby się, że ten Gajów to raj prawdziwy. Gdzie tam! *nie ma takiego kącika, gdzieby nie było krzyżyka.* Otóż i w Gajowie był krzyżyk. Cały tydzień było spokojnie, jak makiem nasiał — ale za to w każdą niedzielę, w każde święto, tartas i rwetes! Ledwie się skończą nieszpory, aliści wszyscy do karczmy, a jeszcze byś pacierza nie zmówił, już krzyk i bitki. Często musiał sam pan lub proboszcz wdawać się w sprawę i rozganiać. Myślałby kto, że Gajowianie byli wielcy pijacy — ale i to nie. Pan, chcąc przeszkodzić pijatykom, wypędził z karczmy żyda arendarza, co to zwykle ludzi do kieliszka nawodzi i osadził w niej własnego sługę, statecznego i poczciwego człowieka, aby szynkował.

Ten miał wyraźny rozkaz, aby ludzi ile możności wstrzymywał a na bórg nie dawał. Nie byli więc Gajowianie pijakami — jeno ich co innego do karczmy i bitki ciągnęło.

Najzamożniejszymi kmieciami w Gajowie byli, jakeśmy rzekli, Szeligowie i Berdysze. Każdy miał po kilkadziesiąt morgów dobrego gruntu, trzymał cztery dziarskie koniki i po parze wołów, a krowy i jałownik nie ustępowały pańskiemu. Mieszkali w sąsiedztwie najbliższem, tak że płoty zagród stykały się z sobą a chałupy patrzały na siebie. Nikt lepiej nie gospodarzył w całej wsi, nikt tak nie pracował jak Berdysze i Szeligi. Na Tomaszu Szelidze i Macieju Berdyszu zawsze najlepszy kożuch i sukmana jak z igły — na Maciejowej i Tomaszowej najlepsza spodnica i chustka — a korale jak orzechy włoskie. Ale cóż z tego: Szeliga nie cierpiał Berdysza a Berdysz Szeligi. Jeżeli się spotkają, nie powiedzą sobie: Niech będzie pochwalony — ale jeden i drugi klną pod nosem i patrzą na siebie jak zbóje. Jeżeli Maciejowa spotka Tomaszową, to nuż jedna na drugą wołać: a ty taka, a ty owaka! aż Tomasz i Maciej wylecą z chałup z kijami i bitka gotowa. Jeżeli parobek Tomasza jedzie na wozie a spotka się z Jankiem, synem Berdysza, jeden drugiemu nie wyminie na włos, jeno lecą na siebie jak opętani i nuż batami się smagać aż się pokrwawią, a kiedy się przecie jakoś wyminą, to jeden na drugiego woła z daleka: Poczekaj bestyjo! odekpi się to odekpi! A co najgorsza, cała wieś podzieliła się: jedni trzymają z Berdyszem, drudzy z Szeligą. Jeśli się żenią, to tylko między swemi, jeśli stawiają chałupę, to po stronie tego albo owego, *na Berdyszowskim lub Szeligowskim końcu.* Jeśli się kto Gajowiana pyta: zkąd jest? to musi potem spytać: z którego końca? a Gajowian odpowiada: z Berdyszowego albo Szeligowego. Toż kiedy się zejdą w karczmie, nie ma rady: muszą się kłócić i swarzyć, od słowa do słowa, a jużci bitka gotowa — a lgną do karczmy jak na lep, nie żeby się zabawić, jeno żeby się wybić. Jednej niedzieli wybije Berdyszowski koniec Szeligów, w drugą gotują się Szeligi, aby oddać Berdyszom wet za wet i to z procentem.

Co też to pan i proboszcz się nie natrapili! Jeden i drugi o zgodzie kazania prawi, pan we dworze, proboszcz w kościele.

Proboszcz grozi, że nie da rozgrzeszenia przy spowiedzi — a Berdysz i Szeliga niby się to godzą — tydzień albo dwa cicho — aliści diabeł nie spi i zaczyna się dawna termedya. Proboszcz woła obu do siebie i grozi znowu:

— To ten, z przeproszeniem Dobrodzieja, psiawiara Berdysz winien, mówi Tomasz —

— To ta bestyja Szeliga, krzyczy Maciej i ani rusz ich pogodzić.

A ta niezgoda niby to chwast, co się w ziemię Gajowską wkorzenił, trwa już pono sześćdziesiąt lat. Dziad Berdysza, jak Szeligowie gadają, zaczął — Berdysz utrzymuje że dziad Szeligi. To pewno, bo i proboszcz tak powiada i pan z papierów dominikalnych doszedł, że się kłótnia zaczęła o kopce graniczne między rolami obu kmieci. Dziad jednego rozburzył kopiec i posunął go dalej, podczas gdy drugi był na wojaczce; a ten wróciwszy, zamiast się domagać sprawiedliwości u sądu, sam sobie ją zrobił, posunąwszy w innem miejscu kopiec o dwa zagony. Odtąd zaczęła się wieczna bitka; rokrocznie jeden drugiemu nie dał ani orać ani zbierać; aż nareszcie, gdy raz byli oba pijani, wszczęła się między nimi kłótnia, od kłótni przyszło do cepów, które mieli w ręku, od cepów do nożów i oba pokaleczyli się śmiertelnie i pomarli oba. Powiadają, że nad kopcami granicznemi słychać często jęki bolesne i ludzie utrzymują, że to dusze obu nieboszczyków. Pastuch widział białe ich duchy, płaczące gorzkiemi łzami na miejscu, gdzie ciężki grzech naruszenia cudzej własności popełnili. Synowie ich a ojcowie dziś żyjących w Gajowie kmieci, zamiast się upamiętać, szli dalej drogą ojców. Dawalić oni wprawdzie grubo na msze i na wywoływanie duszyczek pokutujących — ale nie pamiętali, że lepsza poprawa życia niż fałszywe nabożeństwo — że się modlili pod figurą, a tegoż samego diabła mieli za skórą.

To też i oni smutny mieli koniec. Wdali się w prawo, ale zamiast czekać wyroku, robili sobie sami sprawiedliwość, jak przódy. Zamiast zaufać słuszności swojej sprawy, jęli przekupywać mandatarjusza, a że to był człowiek nieuczciwy, więc nie skończył procesu, ale zostawił rzecz jak była, aby większe z nich mógł zyski ciągnąć.

Tymczasem wieś cała powoli dzieliła się na dwie połowy. Obaj kmiecie mieli dużo dzieci, więc krewniaków dużo urosło. Ów stryk, ów wujek, ów znowu zięć — a gdzie już krewniactwa być nie mogło, to kumoterstwo pomagało — a tak Gajów podzielił się na Berdyszowski i Szeligowski koniec. Nawet dzieci małe uczyły się swarzyć między sobą, i nieraz można było widzieć całą czeredę z obu końców, potykającą się walecznie kijami i pięściami, a gospodarze zamiast karcić, przypatrywali się i podjudzali jeszcze. Nawet w szkole, którą pan wyfundował, a w której proboszcz i organista uczył, musiano rozgrodzić oba końce deszczkami, jak na ten przykład w stajni, gdzie się niespokojne zwierzęta, co nie mają rozumu rozgradza. — Tak z ojca na syna przechodziła nienawiść i niezgoda. Proboszcz groził karą Boską, pan obiecywał skarzyć do powiatu o każdą bitkę — ale nic nie pomagało; Tomasz i Maciej prowadzili dalej wojnę między sobą.

W czasie, kiedy się historja nasza zaczyna, przybliżała się ważna chwila dla całego Gajowa. Tomasz miał tylko jedną córkę, Baśkę — a Berdysz syna jedynaka, Janka. Wszyscy byli ciekawi, za kogo Baśka za mąż wyjdzie i z kim się Janek ożeni. Baśka była najpiękniejszą dziewczyną we wsi — oczki jak tareczki, warkocz do ziemi, jagody krew z mlekiem, a usta jak malina. Nikt lepiej nie tańczył, ale też i nie żął lepiej; fertyczna jak sarneczka, wszędzie jej było pełno, wszędzie ją słychać, bo śpiewała jak słowik a i krakowiaki sama składała. I Jankowi było niczego — chłopak jak dąb, spojrzenie wesołe i śmiałe, wąsik się pod nosem puszcza a jak się uśmiechnie i białe zęby pokaże, jak się rozochoci w tańcu i przytupując podkówkami zanuci jaką piosenkę: to dziewuchom ledwie serce z gorsetów nie wyskoczy, i nie jednej liczko posmuci się jakoś a kumoszki śmieją się i powiadają:

— Oj dziewucho, dziewucho! nie bałamuć sobie próżno głowy.

O chłopcach ani gadać, ci za Baśką latają jak opętani. Furman dworski Jantek, tak się w niej zadurzył, że aż służbę stracił we dworze latając za Baśką, a kiedy mu odprawę dała, to sobie tak wziął do serca, że z desperacyi przystał sam do

wojska, i poszedł na wojnę. Tylko Janek na Baśkę ani spojrzy, w karczmie z nią nie tańcuje, przy żniwie poczciwego słowa nie powie a jak tylko może, to jej psikusa wypłata. Ona też płazem niczego nie puści, ani języka w gębie nie zapomni, a tak i między niemi trwa nienawiść Szeligów i Berdyszów. A choć ludzie powiadają że Janek i Baśka bardzo pasują do siebie, chociaż pan nieraz w żarcie mówi do Tomasza:

— Oj Tamaszu, Tomaszu, Bóg sam podaje wam sposób zgody — wydajcie córkę za Berdysza, ja sam ich poswatam a dwie najbogatsze zagrody połączą się razem — to Szeliga jeno splunie i brzydko popatrzy a powie:

— Wielmożny Panie! to niedoczekanie ludzkie, aby się moja krew połączyła z tą.... z tą Berdyszowską, że już ją nie nazwę jak, bobym ucho pańskie obraził.

A pani gdy raz Jankowi o Baśce gadała i raiła mu ją jako najpiękniejszą dziewuchę we wsi, to Janek aż poczerwieniał od gniewu i zawołał:

— Tobym już wolał, proszę Wielmożnej pani, kulawą i garbatą Grabczankę, albo starą Piotrowę co pod kościołem siedzi.

Tak to, moi mili, gniew i nienawiść ludzi oślepić może.

W tym czasie pojawił się nowy przybysz, niewiedzieć zkąd i wybudowawszy za pozwoleniem gromady i powiatu chałupinkę a kupiwszy kawałek gruntu, osiadł tam na gospodarstwie.

Ten nowy przybysz zwał się Walenty Bizun, a że był kulawy, więc go przezwano Walkiem Kuternogą.

Walek Kuternoga był człek w średnim wieku, niski a krępy, miał łeb czerwony jak węgiel na kominie i jakoś mu niedobrze z oczu patrzało. Służył podobnoś w wojsku i cuda o niem i o swoich walecznych czynach opowiadał — umiał też czytać i pisać i nosił się niby z Waszecia, w surducie dreliszkowym, a na głowie miał czapkę malutką, czarną z orzełkiem, jak to noszą urzędnicy. Idąc upadał na lewą nogę, którą mu, jak mówił postrzelono, gdy jakąś armatę zdobywał. Na pierwszy rzut oka nie spodobał się ani gromadzie, ani księdzu, ani panu i niejeden pomyślał sobie:

że łys, zyz i kuternoga
jeśli co dobrego wielka łaska Boga —

Ale wnet zmieniło się zdanie ludzi i przypomniał sobie niejeden, że nie trzeba sądzić z tego, jak kto wygląda ale jaki kto jest. Walek osiadłszy w swojej chałupinie żył spokojnie, pracował i nie mieszał się do żadnych kłótni. Chodziło mu widać, aby pozyskać przyjaźń ludzi, bo z każdym był grzeczny i potulny, każdemu dobre dał słowo i każdemu przyświadczył. Że był piśmienny użyto go na pisarza gromadzkiego, a ten urząd wnet mu nie mało chudoby przymnożył. Ten przyniósł kurę, tamten prosiaka — toć w pół roku Walek dorobił się nie mało, a był w czci i poważaniu u ludzi.

— Ho! ho! to mądra głowa, słyszy jak trawa rośnie, mówili jedni.

— Gada jakby z książki czytał, a pisze, żeby się i ksiądz proboszcz nie powstydził — mówili drudzy. —

— A taki przecie nieharny, z człowiekim po ludzku gadą i starszych uszanuje — mówili inni.

Pan jeno, proboszcz i kilku starszych gospodarzy nie mogli się przekonać do Walka. Uważali, że Walek przyświadcza wszystkim, zamiast prawdę powiedzieć; że przed Berdyszem gada na Szeligę a przed Szeligą na Berdysza, kłania się nisko panu, proboszczowi, panu naczelnikowi powiatowemu — a w powiecie gada na pana, we dworze na powiat, w probostwie znowu plebanowi baki świeci. Uważali, że choć Walek udaje, że Bogu duszę winien i same piękne słówka ma na ustach, a w kościele modli się i bije w piersi aż dudni, to przecie od czasu jego przybycia nienawiść między Berdyszami i Szeligami wzrosła, kmiecie zaczęli gadać o procesach i pisaniach sądowych, a nawet z dobrym paniskiem zaczęli spory o pastwiska i grunta, do których nie mieli prawa. Uważali że Walek jak to mówią myszkuje, patrzy z podełba na wszystko i nie miesza się do niczego, ale mąci wodę, aby sam w niej ryby łowić.

Nie cała niestety gromada była tego zdania. Szeliga obrany wójtem, wziął go na przysiężnego, a Walek czując swoją ważność, pokazał rogi i zaczął rej we wsi wodzić. Ale że to był

człowiek sprytny, więc ani się Gajowianie spostrzegli, jak ich swoim rozumem opanował.

Walek mieszkał za rzeczką, naprzeciw zagrody Szeligi. Chociaż bywał u Berdyszów i stary go lubił jako uczonego i wszędobyłę, co cuda opowiadać umiał, to przecież częściej jeszcze zaglądał do Szeligi; a że wtenczas wdziewał glansowane palone buty i surdut najlepszy jak organista jaki, gadały więc kumoszki że się do Baśki bierze. Ale skromny Walek spuszczał oczy i mówił:

— Ho! ho! nie dla psa kiełbasa — nie dla kota sadło. Gdzieby mnie tam Baśka chciała?! Chodzę do Szeligi, bo on wójt a ja przysiężny, więc mamy interesa względem gromady.

Tymczasem kumoszki pono i prawdę powiedziały. Ledwie Baśka na ogród wyszła, jużci Walek kulawą nogą kuśtyka przez rzeczkę, przyśmiechuje się a piękne słówka gada. Ale gdzieć tam pięknej dziewusze o takim rudym łbie gadać! Zakręciła się na pięcie za każdą razą, a gdy ją raz chciał w pół wziąść i zatrzymać, dała mu tak potężnie w pysk na odlew, że się Walek kilka kroków potoczył.

— Poczekaj dziewucho! mruknął Walek, zacisnąwszy zęby — nie wymigasz mi się ty! Mam ja głowę na karku.

— Nie dla psa kiełbasa, sami gadacie, panie pisarzu — odezwał się głos od zagrody Berdysza.

Walek spojrzał i ujrzał Janka, śmiejącego się do puku. Ale nic nie odpowiedział, tylko poszedł milczkiem do chałupy. Janek zaś chociaż mu się podobało, co Basia zrobiła, pomyślał sobie, że jej musi dokuczyć i całemu światu pokazać, jaki się do niej przystojny chłop zaleca.

W Niedzielę nadarzyła się sposobność. Pan sprowadzić kazał muzykę, myśląc, że przecież choć taniec przeszkodzi kłótniom i bitkom, a jak skrzypki zaczną ciąć od ucha, to się może jaka Berdyszanka z Szelżanem wyhula. Idzie Janek do karczmy w nowej sukmanie, białej jak śnieg koszuli z czerwoną wstążeczką u szyi, że w kąt przy nim wszystkie parobki. Wchodzi, patrzy po ludziach żeby zobaczyć, czy Berdyszowskiego końca dosyć, aby się Szelżanom nie dać. Odezwało się kilka głosów:

— Hej! panicz idzie, — bo paniczem nazywali Szeliżanie Janka Berdysza.

— Stulcie pyski, gałgany! wrzasnęło kilkanaście głosów.

Janek poznał, że Berdyszowszki koniec liczniej się w karczmie zgromadził.

Skrzypek uciął od ucha skocznego krakowiaka i rzędem posypały się pary. Janek tupnął podkówkami i poszedł w tany z ładną Kasią od Wicka Zająca. Ale nie szło mu jakoś raźno; widać było, że na coś czeka.

Po chwili otworzyły się drzwi i ozwał się głos Berdyszanów.

— A chodź-że, chodź-że, sikoro z Szeligoskiego końca.

Baśka zachwiała się we drzwiach — i chciała uciec. Zlękła się biedaczka, bo widziała że się bez kłopotu nie obejdzie. Ale zuchwałość w niej przemogła; wlazła więc do izby szynkownej i zawołała śmiało:

— Sikora jak sikora — ale tu wróbli siła.

W tej chwili przykuśtykał Walek Kuternoga i wszystkim grzecznie się skłonił. Jasiek zobaczywszy go, sypnął garścią pieniędzy do basów i zawołał śmiejąc się:

— Grajcie mi krakowiaka — jeno ciętego —

Muzyka urznęła krakowiaka. Jasiek porwał Basię i postawiwszy przy Walku, zaśpiewał:

Oj nie szukać pary, jest ci piękna para —
Walek Kuternoga i wójtówna Barbara!

Wszyscy w śmiech. Baśka poczerwieniała jak jagoda i łzy jej się zakręciły w oczach. Walek uśmiechnął się i mlasnął językiem.

Opowiadałbym dalej, jeno że mi już zgoła, jak sami widzicie, miejsca zabrakło. Aleć co się odwlekło, jeszcze nie uciekło — tylko trochę cierpliwości! —

Dawne przysłowia.

1. Kiedy niedźwiedzia raz przemożesz, już go gdzie chcesz za nos powiedziesz.
2. Kto ojcu nie wycierpi, ten drugim oczy wyłupi.
3. Komu Bóg nie obiecał śmierci, ten się i z grobu wywierci.
4. Gdzie dwaj rzekną, żeś pijany, możesz iść spać bez nagany.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**